POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 16 LUTEGO 1929 ROKU NR. 7

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

MECHANIZM ŻYCIA

20)

Witecki trochę się zmieszał.

— Miałem na myśli wyjątkowe okoliczności.

— A jeżeli zachodzą wyjątkowe okoliczności?

— Musiałbym je znać, żeby odpowiedzieć. Często ludzie dopatrują się wyjątkowych okoliczności tam, gdzie ich wcale niema. Jeżeli zresztą mamy mówić szczerze, to przedewszystkiem ty mi odpowiedz szczerze na kilka pytań.

— Dobrze.

— Zakochałaś się?

— Tak, — odparła Krzysia spokojnie, patrząc ojcu prosto w oczy. I mimo wszystkie jego teorje o potrzebie jaknajdalej idącej szczerości we wzajemnych stosunkach rodziców z dziećmi i subtelnem odczuwaniu cudzych stanów psychicznych, co uważał za swoją, może nawet wyjątkową właściwość, ta prostota córki trochę go uraziła. Z nałogu konwencjonalnego byłby ją wolał widzieć w tej chwili zmieszaną i zawstydzoną. To też zapytał dość chłodno:

— Dawno?

— W lecie.

— W lecie? I nic dotychczas o tej znajomości nie mówiłaś?

— Bo znajomość trwa dopiero od trzech dni.

— No, to niedawno — roześmiał się Witecki, ucieszony nagle tą odpowiedzią. — Któż to jest?

— Student. Medyk. Już kończy. Nazywa się Stefan Calewicz.

— Żonaty?

— Nie.

— No, więc jakież tu mogą być wyjątkowe okoliczności?

— Niech tatuś wie, że gdyby on nie mógł się ze mną ożenić, a zażądał, żebym z nim zamieszkała, tobym z nim zamieszkała. Dlatego to wszystko mówię, że nic na świecie mnie z nim nie rozłączy. My się już kochamy na śmierć i życie.

Widząc egzaltację córki, Witecki uśmiechnął się pobłażliwie. Najważniejsze było to, że się przestał niepokoić, ponieważ zagadkowe przed chwilą jej zapowiedzi oceniał już teraz tylko jako grę zbyt rozognionej wyobraźni bez istotnych podstaw. Zresztą, całą odpowiedzialność za niezwykły i zatrącający melodramatem nastrój, jaki się wytworzył przy stole, przeniósł na żonę, której patos i miny działały podniecająco na Krzysię.

— Jakeście zdążyli już się porozumieć w ciągu tych trzech dni — odezwał się, przechodząc na przyjacielski ton.

— Czyż to wiele czasu potrzeba?

— No, jeżeli porządny chłopak, to bardzo dobrze. Matka się ucieszy, będzie miała zięcia i znajdzie nowe ujście dla narzekań. Ale gdzieżeście się poznali?

Krzysia opowiedziała ojcu całą historję. Witecki się roześmiał.

— Ano wszystko w porządku. Z warjacji Przecławskiego i obłędu tej jakiejś jego niby to narzeczonej urodziło się nowe szaleństwo.

Krzysia nic nie odpowiedziała. Patrzyła zamyślona przed siebie. Witecki tkliwym ruchem odgarnął jej kędziory z czoła.

— O czem się tak zamyśliłaś?

— A właśnie o tem, co powiedziałeś. To prawda. To nieszczęśliwe stworzenie przydało się nam jednak.

— Wiem, za co cierpię — westchnął z żartobliwą powagą Witecki. — Dziś przed południem trzy razy do mnie telefonowała. Szkoda, żeście nie wynaleźli innego sposobu zawarcia znajomości.

— Odwdzięczę ci się za to jakoś, tatusiu — uśmiechnęła się Krzysia, całując ojca.

Krzysia, utrzymując, że panna Czesława przydała jej się do zawarcia znajomości ze Stefanem, nie dopowiadała ojcu wszystkich swoich myśli. Nie miała w naturze skłonności do zbyt drobiazgowych zwierzeń. W istocie jednak niedaleka była od przypuszczenia, że bez panny Czesławy możeby nawet wcale nie poznała Calewicza. Pierwotny zamiar, żeby go poprostu zaczepić, wydawał się niesłychanie łatwym w Urlach. Niestety, Calewicz zniknął wówczas niespodziewanie, a w Warszawie ta sama sprawa przedstawiała się już znacznie trudniej. Wprawdzie dość często widywała go na ulicy, ale mimo wszystkich starań nie udało jej się go spotkać chociażby na podwórzu uniwersyteckiem, gdzie przez pewną sugestję jakiegoś wyodrębnionego świata śmielej mogła zapanować nad konwenansami, które aczkolwiek lekceważone przez nią w rozmyślaniach, odzyskiwały swoją władzę w chwili zetknięcia z rzeczywistością. Atmosfera ulicy wytwarzała między nią a Calewiczem jakiś inny odcień obcości, surowy i nieprzyjemny. Na to, aby konwenans przełamać, musiałaby mieć jakąkolwiek zachętę ze strony Stefana, chociażby we wrażeniu, że na nią zwraca uwagę. Młody medyk mijał ją zawsze jakby nie widząc z posępnym wyrazem twarzy. Obawiała się nieporozumienia. Krzysia, jak każda kobieta, podświadomie odczuwała, czy się po-

doba, czy nie, w stosunku jednak do Stefana zawsze zatracała to odczuwanie. Przy jej energicznem i zuchwałem usposobieniu wszelka beznadziejność była stanem nie do zniesienia. Po pewnym czasie postanowiła przełamać ogarniające ją uczucie i wogóle wykreślić Calewicza z życia. I właśnie kiedy z lękiem stwierdzała, że będzie to bardzo trudne, panna Czesława wprowadziła go jakby cudem w jej życie.

— No cóż, trzeba rozpowiedzieć wszystkim tę nowinę — odezwał się Witecki.

— Nie, nie — zaprotestowała szybko. — Jeszcze nic nie mówmy.

— Dobrze. Tylko nim się ostatecznie zdecydujesz, dowiedz się jeszcze, czy to naprawdę porządny chłopak.

— O, to już wiem — wybuchnęła gorąco.

— Musisz mnie jak najprędzej z nim poznać.

— Jutro.

Witecki nigdy nie miał czasu. Więc zmarszczył brwi z wyrazem zamyślenia. Ale po chwili machnął ręką.

— Jakoś tak się urządzę, żeby godzinę dla was znaleźć.

I Witecki poszedł do swego gabinetu. Skrzyp drzwi i odgłos jego kroków były znakiem dla matki i Heli, które się schroniły do pokoju sąsiadującego z gabinetem, że tajemnicza rozmowa skończona. Obie wróciły więc do jadalni, przyczem przybrały takie miny, jakgdyby rozmowa Krzysi z ojcem najzupełniej uszła ich uwagi. Niedługo jednak wytrwały w tej roli. Wyraz twarzy Witeckiej odrazu się zmienił, można w nim było wyczytać urazę i myśl — skoro mają być jakieś tajemnice, to się nie dopytuję — a oczy Heli znów rozszerzyło przerażenie. Zestawiając zagadkowe odezwania się Krzysi przy kolacji z ulubionemi jej zawsze dyskusjami na temat niedoli nieprawych dzieci i głupoty niezamężnych kobiet, które się wstydzą być matkami, Hela doszła do wniosku, że Krzysia zawiązała romans i była w ciąży. Wobec tego odrazu ułożyła rozpaczliwy plan działania. Pod pozorem studjów Krzysia będzie musiała wyjechać zagranicę i tam urodzić dziecko, a następnie dla ratowania opinji siostry ona to dziecko uzna za swoje. I westchnęła tylko do Boga, żeby to był syn, gdyż zdawało się jej, iż to złagodziłoby trochę jej cierpienie.

VIII.

Calewicz słuchał Krzysi z zamierającem sercem. Czuł, że powinien jej przerwać, powiedzieć prawdę, zburzyć te wszystkie złudne majaczenia i nie miał odwagi.

A Krzysia roześmiana, rozpromieniona, żyła tylko swojem szczęściem.

— Przecież nie potrzebujemy czekać końca studjów. Jeszcze dzisiaj rano rozmawiałam o tem z ojcem. Mówi to samo, co i ja. Za trzy tygodnie weźmiemy ślub i już będziemy ciągle razem. Narazie możemy doskonale pomieścić się u rodziców; taka studencka para, jak my, nie potrzebuje apartamentów, Hela będzie płakała ze wzruszenia, a mama zaraz zacznie toczyć wojny, żebyś dużo jadł i nie wysiadywał długo po nocach. Ojciec już mi obiecał pensję jako sekretarce. Damy sobie radę i będzie nam dobrze.

Calewicz pochylił głowę i przymknął oczy. W tej chwili dopiero wyraz jego twarzy zwrócił uwagę Krzysi.

-- Co ci jest, Stefku?

— W ciągu tej rozmowy przeszli na „ty", jakgdyby już nie potrafili mówić do siebie inaczej.

— Ja...

— Chciałem powiedzieć — ja nie mam prawa być szczęśliwym — i wyrazy uwięzły mu w gardle.

Krzysię ogarnął nagły lęk. Ale jej uniesienie nie mogło dopuścić nawet myśli o jakiemś rozczarowaniu. Przysunęła się do Stefana i poczciwym, siostrzanym ruchem objęła go za szyję.

— Powiedz, kochanie. Czem się w tej chwili zmartwiłeś? Przecież ja chcę wiedzieć o wszystkich twoich troskach. My jesteśmy jedno. Prawda?

Mówiąc to, przysunęła twarz do jego twarzy i prawie dotykała jej ustami. Wraz z porywem zmysłów Stefana ogarnęła jakaś rozpaczliwa determinacja. — Wszystko jedno. Należy mi się choć chwila szczęścia w życiu — przemknęło mu przez mózg. Jeszcze bardziej pochylił głowę i z niezrównaną rozkoszą ucałował wyraźnie zaznaczające się pod cienką tkaniną sukni koniuszczki piersi. Krzysia drgnęła, ale nim zdążyła rzucić się w tył, Stefan ogarnął ją ramionami i całował w oczy, w usta, w czoło, szepcząc te słowa miłości, przy których znika wstyd. Krzysia doświadczała uczucia szczęścia, graniczącego z utratą świadomości.

W tej chwili we drzwiach wchodowych rozległ się nagle zgrzyt klucza. Stefan zerwał się na równe nogi. Do przedpokoju weszła pani Calewiczowa, ale zauważywszy przez niedomknięte drzwi kobiecą sylwetkę, skręciła odrazu do kuchni.

— Mama — szepnął Stefan zmieszanym głosem.

Krzysia chwilę stała nieruchomo. Nagle, jakgdyby przytomniejąc ze snu, przesunęła dłonie po twarzy i zbliżyła się do Stefana. Na mgnienie oka przylgnęła gorącym policzkiem do jego ramienia i poszła do kuchni. Pani Calewiczowa stała przy oknie, odwrócona plecami do drzwi. Wróciła do domu niespodziewanie, o godzinę wcześniej. To, że syn, mogąc liczyć na jej nieobecność, przyjmował jakąś swoją znajomą, nie wydawało jej się niczem gorszącem. Ale niebardzo wiedziała, jak wybrnąć z sytuacji. — Uczuła, że ją ktoś bierze delikatnie za rękę. Odwróciła się szybko i na widok przeźroczystych oczu nieznajomej dziewczyny i zmieszanego uśmiechu, który się ledwo rysował na rozchylonych ustach, poczuła odrazu do niej ogromną sympatję.

— Jestem Krystyna Witecka — odezwała się Krzysia.

Z wyrazu twarzy Calewiczowej Krzysia zrozumiała, że Stefan nic jeszcze matce nie powiedział. I równocześnie odczuła, że jeśli z jakichkolwiek powodów sprawiło mu to trudności, to właśnie na nią spadał obowiązek, żeby go wyręczyć.

— Wiem, że Stefan nic pani jeszcze nie mówił...

Calewiczowa odczuła całą szczerość i powagę tonu Krzysi. Uśmiechnęła się do niej, tak jak się uśmiechała do swojego syna.

— O czem mi Stefan nie mówił?

— Bo my się już dawno znamy, — zaczęła śmiało Krzysia, ale przy następnych wyrazach głos jej coraz bardziej załamywał się i drżał. Bardzo się kochamy i postanowiliśmy ... — znów umilkła, jakgdyby nie umiejąc znaleźć wyrazów.

— Cóż to za skryty chłopak z tego Stefana! — wykrzyknęła Calewiczowa. — Gdzieście się poznali?

— W lecie.

— I ani słowem mi nie wspomniał.

— Bo my długo znaliśmy się tylko z widzenia.

(D. c. n.).

7) MACHNO I JEGO ŻYDÓWKA

Odnalazłem mego bat'kę, którego uważałem za pokonanego, oczarowanego.

Stawał się znów sobą, cały płonący zwierzęcemi instynktami, bardziej dziki i bezwzględny, niż zwykle. Śledziłem go z uwagą, niemal rozkosz przypominającą, takem był w tej chwili z nim zespolony.

W chwili, gdy zachodziła w nim reakcja, chwytałem jej sens tajemny, nakazującą przyczynę, lecz nie mogłem ich przewidzieć. Byłem niby jego sobowtórem, zarazem ślepym i jasnowidzącym.

Co za przyjemność wyrafinowana, gdy się nie wie, jaki czyn ma się popełnić, zdawać sobie sprawę, gdy już spełniony, o jego najgłębszych przyczynach. Tak, w chwili tej byłem Machną świadomym, który patrzał na czyny tamtego, nie mając na nie wpływu.

Rzucił się na dziewczynę istnym skokiem zwierzęcym, otoczył ją ogarniającemi ramionami, chwycił ją za stan, za piersi, wzniósł usta swe ku jej ustom.

— Proszę mię zostawić, — krzyczała, — proszę mi dać pokój, pan nie ma prawa.

Lecz on ściskał ją coraz silniej, a ponieważ podnosiła głowę, by nie mógł jej pocałować, wziął ją za szyję, nachylił ku sobie. Ruch ten uwolnił rękę dziewczyny.

Bez wahania uderzyła Machnę w twarz.

Uderzenie to rozległo się w mojej piersi. Przeraziłem się, ale obawą, która nie była indywidualną, obawą, jakby tu się wyrazić — kosmiczną. Przeląkłem się o nas wszystkich, o miasto, o świat cały!

Machno uderzony w twarz!

Zdawało mi się, że nie znajdzie kary na miarę takiej zniewagi, że jego szał wściekłości, po za słabą dziewczyną, która go rozpętała, świat cały ogarnie pożarem.

Istotnie, strasznie było patrzeć na niego. Po tym policzku, oddalił się od dziewczyny i stał na środku pokoju.

Wszystko w nim było nieruchome, ramiona, głowa, oczy. Usta jedynie drżały, ale rytmem szalonej szybkości. Czuć było, że mózg jego pracuje w tempie jeszcze szybszem, że wszystkie rodzaje mąk przechodzą mu przez myśl, a on w swym szale wściekłości nie może zdecydować się na żaden.

Jakie przyrządy tortur musiał widzieć w ciągu tych kilku sekund! Jakie sceny długich, szczególnych, rozkosznych cierpień! Wytoczyć kroplę po kropli tę krew przeklętą! Poddać bólom każdy cal tego nędznego ciała! Szepnął wreszcie sam do siebie:

— Kazać ją upiec, tak, kazać ją upiec żywcem. I po wszystkiem!...

Odpowiedział mu jęk ledwo dosłyszalny. Przypomniał mi istnienie młodej dziewczyny.

Przez tych kilka chwil w istocie tylko Machno i jego szał istniały dla mnie. Spojrzałem na dziewczynę. Płakała. Nie przypuszczałem tej możliwości, taka była dotąd dumna i spokojna!

Ale musiała zrozumieć, że po tym jej ruchu nie może już być dla niej miłosierdzia, że umierać trzeba. A śmierć w jej wieku, to sprawa, o której nie miało się dalibóg! czasu pomyśleć.

To też bała się, naprawdę, aż do głębi duszy i płakała z przerażenia.

Oczy moje przeniosły się na Machnę, aby widzieć jego dziki tryumf.

Lecz twarz jego wyrażała zdumienie obłędne. Nie zrozumiałem narazie przyczyny.

Ruchem głowy wskazał mi dziewczynę, szepcąc:

— Patrz, patrz!...

Rękami zakryła twarz, aby uchronić ją może, a może aby ukryć swe wzburzenie.

Były to dwie najpiękniejsze ręce w świecie, z wątłemi kiściami, porysowanemi delikatnemi, błękitnemi żyłkami, z palcami tak pięknemi, że zdawały się wyrzeźbione w drogocennym materjale.

Tylko wielkie palce były nieco grubsze, nie ukształtowane, jak bywają u dzieci.

Łzy przeciekały przez palce. Płynęły jedne po drugich, bez przerwy, jak małe węże srebrnawe.

A ciało było tak czyste, że nadawało blask łzom, a łzy tak błyszczące, że czyniły ciało bardziej jeszcze przejrzystem.

Zdumienie Machny trwało długo i wiem, że uczuł wówczas tę rzecz nienazwaną, którą wcześniej od niego odczułem, tę rzecz miękką i niepewną, która jest litością.

Odtąd nie usiłowałem już zrozumieć. Opowiadam, com widział poprostu.

Machno zbliżył się ku młodej dziewczynie, nieśmiało, niezręcznie. Wszystkie jego ruchy były nacechowane łagodnością niezgrabną, lecz tem potężniejszą. Ujął ręce, ukrywające twarz we łzach, usiłował je oderwać.

Sądząc, że chce ją bić, broniła się słabo.

Odsunął się trochę, rzucił mi zrozpaczone spojrzenie, jakby wzywające pomocy wśród okoliczności, gdzie nie wiedział, jak postąpić.

Nie ruszałem się, przykuty do miejsca zdziwieniem, obawą i czemś jeszcze silniejszem, czego nazwać nie próbuję, czego nie mogę nazwać, gdyż nigdy na tej idjotycznej ziemi nie było człowieka bardziej wzruszonego i ogłupiałego; gdybym to określił, powiesiłbym się ze wstydu i wstrętu.

Poczekawszy kilka sekund, Machno zbliżył się znowu do dziewczyny. Lecz tym razem ujął jej ręce i powiedział:

— Nie płacz już.

Czułość tego głosu wzburzyła ją. Zaszlochała tak silnie, że było to niemal rzężenie i ukazała nam swą twarz wilgotną, nieprzytomną.

Widocznie, nie wierzyła jeszcze w łaskę bat'ki. Lecz on nie patrząc na nią, uśmiechał się uśmiechem zażenowanym, pełnym skruchy i powtarzał:

— Nie płacz już, nie płacz.

Zmienność kobiet jest rzeczą zdumiewającą. Ta naprzykład, która ukazała przed chwilą twarz umęczoną, już stawała się spokojną i tryumfującą. Wkrótce ona pocieszała bat'kę.

Pociągnęła go łagodnie na tę samą kanapę, która omal, że nie stała się dla niej zgubną.

— Źle postąpiłam, uderzając pana, — powiedziała, — ale srodze mię pan ukarał. Jesteśmy skwitowani. Zapomnijmy o tem.

Słuchał jej z wyrazem twarzy poddanym, szczęśliwym. I było to nieco wstrętne, gdy się widziało

tego śmiałego i dzikiego wodza, bezbronnego wobec dzieweczki.

Przypomniałem sobie starą piosenkę Steńki Razina, pamiętacie, tę, która opowiada, jak wielki ataman dla uspokojenia swych towarzyszy rzuca swą ukochaną do Wołgi.

Nasz ataman nie zrobiłby tego! Raczej kazałby nas wszystkich pomordować, zanimby tknął dziewczynę, która go spoliczkowała. Niemożliwością byłoby wątpić o tem ani na chwilę, gdy się słyszało, jak pytał głosem, który usiłował uczynić obojętnym:

— Czy kochasz kogo?

Dziewczyna odpowiedziała z wielką prostotą:

— Nie. Myślałam, że kocham, ale to było złudzenie.

Ciągnęła dalej z tą samą prostotą i szczerością:

— W Kijowie asystował mi jeden oficer. Był to lotnik bardzo dzielny. Codziennie, gdy była pogoda, odbywał loty niesłychanie odważne ponad domem, w którym mieszkałam. Sądzę, że kochał mię naprawdę i mnie coprawda podobał się bardzo. Mieliśmy się zaręczyć, gdy nagle poprosił o urlop i wyjechał.

— Dlaczego? — spytał bat'ko, który wysłuchał krótkiego opowiadania ze szczękami straszliwie zaciśniętemi.

— Bo dowiedział się, że jestem żydówką.

Jednym susem Machno znalazł się na środku pokoju.

— Jesteś żydówką, ty?...

Była to ostatnia i może najstraszniejsza próba, na jaką był wystawiony.

Mówiłem już panu, że nie znosił żydów. Do tej nienawiści łączyła się pogarda i wstręt bezgraniczny. Większość antysemitów, jakich znałem, kierowała się rozumowaniem, Machno miał tę nienawiść we krwi.

Byłże to atawizm, wychowanie, nienawiść osobista, instynktowna potrzeba fanatyzowania tłumów? Nie, ale myślę, że nie było bardziej zaciętego mordercy żydów.

A to dziecko, które go ujarzmiło, wyznawało spokojnie, że należało do rasy, którąby chętnie zdeptał całą swym butem.

— Nigdybym nie przypuszczał tego, — powiedział ogłupiały.

— Dlaczego?

— Jesteś odważna.

Poczęła uśmiechać się słabo, potem powiedziała półgłosem:

— Wszyscy jesteście podobni z waszemi przesądami.

Spoglądał na nią z wyrazem twarzy nieprzytomnym, jakby chcąc się przekonać o prawdzie jej słów i zdecydować się przyłożyć do tej twarzy, wobec której czuł się bezbronny, etykietę: żydówka...

Wreszcie wzruszył ramionami, uczynił ruch ręką i usiadł znowu obok dziewczyny.

— Jak się nazywasz? — spytał nagle.

— Sonia.

Westchnął jakby z ulgą. Nie było to imię, na które aż się pienił z wściekłości: Rebeka, Sara, Noemi. Było to imię chrześcijańskie.

Z tą samą szorstkością spytał:

— Czy chciałabyś się ochrzcić?

Odpowiedziała ze zdziwieniem:

— Nie myślałam nigdy o tem.

Ścisnął nerwowo w ręku poręcz kanapy i zamruczał przez zęby:

— Dobrze, dobrze, zobaczymy.

Poczem wracając do swego zwykłego tonu, rozkazującego:

— Dość gadaniny. Do roboty. A ty idź spać. Już świta.

(Dok. nast.).

NOTATKI LITERACKIE

HAZARD JAKO PRÓBA CHARAKTERU

Niedobrze jest grać bez opamiętania. Bez gry jednak zebrania towarzyskie nie miałyby uroku. Dla obserwatora, jak i dla uczestnika wszelkiego rodzaju gier towarzyskich, przy umiejętnej i rozwiniętej spostrzegawczości wnet zebranie przekształca się w ciekawe widowisko. Ukryte właściwości ludzkie zdradzają się, wypełzają, konkretnie określają jakość poszczególnych jednostek. W takich warunkach najradykalniejszym odczynnikiem poznawania charakterów staje się jakaś gra hazardowa. Karty często w towarzystwie demaskują ludzi. Przebiegłość, ordynarność, lekkomyślność, celowość, siła czy ostrożność nie na długo dadzą się ukryć.

Czyż trzeba przypominać, iluż tragedji ludzkich powodem był i jest hazard. A jednak niema tygodnia, by kronika nie przynosiła coraz to nowych faktów. Warto więc odczytać sobie Schnitzlerowską powieść pt. „Gra o brzasku", by unaocznić sobie, jak kapryśną jest fortuna i lekkomyślnym człowiek. Austrjacki porucznik, by ratować przyjaciela od zarzutu defraudacji, jedzie z Wiednia do Baden w nadziei, że... wygra tysiąc guldenów, potrzebnych na pokrycie. Z początku sprzyja mu karta. Rezultat: przegrał na słowo honoru jedenaście tysięcy guldenów. Cóż zrobi taki porucznik? Zastrzeli się, doznawszy jeszcze uprzednio wielu innych przykrości.

Hazard, jako próba charakteru, jest ciekawem, ale i niebezpiecznem zjawiskiem. Ludzie nerwowi, nieopanowani, słabi winni się trzymać zdaleka od wszelkich gier. Nawet od... flirtu.

CZY ISTNIEJE JESZCZE NIEWOLNICTWO?

Obfitemi łzami opłakało nasze dzieciństwo „Chatę wuja Toma". Wiemy, iż jest to już przeszłość i to bezpowrotna. Niestety wiadomościom naszym przeciwstawia się nieustannie rzeczywistość może jeszcze groźniejsza, niż wśród niewolników murzyńskich z „Chaty wuja Toma". Bo niewolnictwo, jeżeli ująć rzecz ściślej, nie istnieje tylko w Europie. Na innych kontynentach uprawiane jest nadal w różnych formach, niekiedy zgoła bez wszelkiej ceremonji.

Książka p. Zbigniewa Zaniewickiego pt. „Zielone piekło", w sprawie tej przynosi zupełnie rewelacyjny materjał. Brazylja uprawia niewolnictwo nietylko na rasach niższych, lecz i na ludziach z Europy. Murzyni są dozorcami europejczyków. Nahaj rządzi wszechwładnie na fazendzie. Niema mowy o jakiemkolwiek wynagrodzeniu lub prawach socjalnych. Ogłoszenia mówią wprawdzie, że poszukuje się robotników rolnych na dobrych warunkach, lecz jest to tylko przynęta. Niech spróbuje dochodzić umowy! Zwerbowany robotnik z miejsca dostaje się w więzienne warunki. Za najdrobniejszą nieuwagę jest maltretowany przez murzyńskich dozorców. Emigranci rosyjscy, niemieccy, polscy dostają się w łapy takich oprawców i nie mają możności bronić się: trupy ich pochłonie zielone piekło, puszcza brazylijska.

Opowiadanie p. Zaniewickiego, byłego marynarza ze „Lwowa", ścina krew w żyłach. Ktoby mógł przypuścić, że pod bokiem konsulów: polskiego, włoskiego, niemieckiego, istnieje taki gwałt wszelkiego prawa nad obywatelem europejskim?

W zielonem piekle, puszczy brazylijskiej, rządzi pięść, gwałt, przemoc. I cóż wobec tego mówić o niewolnictwie, panującem w dzikich ostępach środkowej Afryki? Cóż znaczą wiadomości o niewolnictwie wśród żółtych ludów środkowej Azji, gdy pod bokiem Sao Paolo, miasta ludnego i cywilizowanego, panują zwyczaje niewolnicze z przed wieków?

